

GOSĆ
NIEDZIELNY



CZEŚĆ V

PRZEZ MORZE CZERWONE

Kościół w Polsce pod rządami komunistów

Życie codzienne katolika w PRL



WSTĘP

W państwie komunistycznym wiara i praktyki religijne katolików były postrzegane jako swoista dywersja ideologiczna. Znamienne jest wyznanie gen. Wojciecha Jaruzelskiego, który w latach 80. stwierdził, że Kościół stanowił dla władz rodzaj garbu, którego nie można było usunąć operacyjnie. Tolerowano więc z konieczności ludzi wierzących, piętrząc jednak przed nimi różnorakie problemy. Traktowanie jak obywateli drugiej kategorii, usuwanie religii i krzyży ze szkół, przeszkadzanie w praktykach religijnych, utrudnienia



we wstępowaniu do seminarium, ośmieszanie wiary i Kościoła – to tylko niektóre problemy, z jakimi na co dzień borykali się katolicy w państwie komunistycznym. Wszechwładny aparat partyjno-państwowy nie zdołał jednak przez kilkadziesiąt lat przeprowadzić gruntownej laicyzacji (ateizacji) społeczeństwa, a represje i szykany wobec katolików, w myśl tezy, że w czasach prześladowań „wierni stają się jeszcze wierniejsi, a słabsi odpadają”, często prowadziły do wzmocnienia wiary.

Adam Dziurok

Obywatele II kategorii

Katolicy w PRL byli traktowani jako obywatele drugiej kategorii. Wynikało to z faktu, że PZPR – rządząca partia – miała ambicję wychowania społeczeństwa w duchu marksistowskiego ateizmu.

W tym celu przez 45 lat walczyła z Kościołem, stosując system ograniczeń administracyjnych oraz represji wobec duchowieństwa i instytucji kościelnych, ale także starając się promować tzw. laicki model wychowania. W praktyce jednak model laicki, czyli świecki, oznaczał antyreligijny, ateistyczny.

Ponieważ marksistowska partia rządziła państwem, administracja była także orężem w walce światopoglądowej, wykorzystującym w tym celu wszystkie możliwe instytucje społeczne, poczynając od szkoły, poprzez media, kulturę, wreszcie działalność różnych organizacji. Odbywało się to z różnym natężeniem, od jawnej wrogości w czasach stalinowskich, czy w czasie sporu o obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, po znacznie bardziej wyrafinowane akcje w latach 70. czy 80.

Fachowcy tylko partyjni

Ważnym instrumentem, jakim dysponowało komunistyczne państwo w tych zmaganiach, był system nomenklatury, czyli całkowicie kontrolowany przez partię sposób wyłaniania kandydatów na kierownicze stanowiska w różnych sektorach życia publicznego i gospodarczego, nauce, oświacie i kulturze. Warto przypomnieć, że system nomenklatury

obejmował nie tylko 300 tys. najwyższych stanowisk w państwie, o których decydowały Wydziały KC lub nawet Sekretariat KC albo Biuro Polityczne. Nomenklatura funkcjonowała także we wszystkich zakładach pracy. Członkostwo w PZPR wymagało formalnego przestrzegania ateistycznych deklaracji światopoglądowych. W przypadku szeregowych członków, zwłaszcza robotników bądź chłopów, najczęściej tego nie przestrzegano. Inteligencji stawiano bardziej surowe wymagania. Natomiast bezwzględnie przestrzegano zasady ateistycznego wychowania w administracji państwowej wszystkich szczebli, mediach, korpusie oficerskim Ludowego Wojska Polskiego, Milicji Obywatelskiej oraz Służbie Bezpieczeństwa. W ten sposób dochodziło do masowego łamania sumień. Ludzie wierzący, najczęściej dla kariery, awansu, większych pieniędzy, prestiżu społecznego bądź wygodnego życia, przystępowali do marksistowskiej

partii. Kościół w tej sprawie przez cały okres PRL zachowywał się pragmatycznie, ludzi wierzących w PZPR nigdy jednoznacznie nie oceniając.

W sąsiedniej wsi

Trzeba dodać, że także wielu z tych, którzy wbrew swemu sumieniu zapisali się do partii, próbowało jakoś sobie radzić, np. organizując chrzty i przyjęcia pierwszokomunijne swoich dzieci w innych miastach bądź regionach kraju. Znane są wypadki, że nawet członkowie kierownictwa partii, jak np. Aleksander Zawadzki, na łożu śmierci spowiadali się i przyjmowali Komunię św. Byli oczywiście i tacy, którzy nawet w czasie pogrzebu swoich rodziców nie weszli do kościoła, aby podkreślić swój ideowy pryncypializm. Wszystko to sprzyjało deprawacji sumień i tworzyło szarą strefę podwójnej moralności, wobec państwa i dla siebie.

Andrzej Grajewski



Procesje Bożego Ciała były w PRL największą publiczną manifestacją wiary. Na zdjęciu uroczystości w Złakowie Kościelnym pow. łowicz w 1969 r.

Szkolne porządki



Spotkanie Prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego ze studentami w listopadzie 1956 r. W grudniu 1956 r. władze zgodziły się na powrót katechezy do szkół, z których została usunięta w 1961 r.

Po przejęciu władzy komuniści podjęli i konsekwentnie realizowali plan wychowania nowego człowieka – socjalistycznego.

potrzebą poszerzania tolerancji i wolności wyznania, a w istocie rzeczy chodziło nie tylko o laicką szkołę, ale – jak pokazała niedaleka przyszłość – o szkołę ateistyczną.

Z życia szkolnego zaczęto stopniowo usuwać wszystko, co miało jakikolwiek związek z religijnym wychowaniem dzieci.

Zbędne krzyże

Widomym znakiem laickiej reformy szkolnictwa było stopniowe wypieranie z nauczania katechetów (księży i sióstr zakonnych), zakaz działalności na terenie szkoły katolickich organizacji, usuwanie krzyży z sal szkolnych, utrudnianie dzieciom udziału w nabożeństwach szkolnych, przy jednoczesnym preferowaniu metod wychowania laickiego.

Krzyż w szkole stał się jednym z poważniejszych powodów zadrażnień, które w konsekwencji zaowocowały licznymi represjami wobec księży i młodzieży szkolnej. W akcji usuwania godła chrześcijańskiego w województwie śląskim w pierwszej linii wziął udział kurator Berek, który stwierdził, że krzyże należy usuwać, ponieważ „widok Chrystusa Ukrzyżowanego może wywołać w młodzieży instynkty krwiożercze”.

Laicyzacja

Programowa laicyzacja wychowania i nauczania, rozpoczęta w 1945 r., z przerwami trwała aż do 1990 r. Jedynie w drugim półroczu

1949 r. w siedmiu diecezjach zamknięto 14 szkół katolickich, w 19 diecezjach usunięto prefektów i katechetów, a tylko w 5 diecezjach katecheci mieli jeszcze w miarę swobodny wstęp do szkoły. Po krótkiej odwilży październikowej, która objęła również szkołę polską, 8 grudnia 1956 r. minister oświaty wydał zarządzenie w sprawie nauczania religii w szkołach jako przedmiotu nadobowiązkowego, a okólnik z 11 grudnia 1956 r. zezwalał na tworzenie szkół bez nauki religii. Ostatecznie, nauczanie religii zostało usunięte ze szkół w 1961 r. Sejm PRL uchwalił ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania, w której zadekretowano, że szkoły i inne placówki oświatowo-wychowawcze są instytucjami świeckimi.

Katechizacja przeniosła się całkowicie na teren kościelny. We wszystkich diecezjach w Polsce powstała sieć punktów katechetycznych. Władze nawet w takiej sytuacji usiłowały podporządkować sobie nauczanie katechetyczne przez tzw. akcję rejestracji punktów katechetycznych. Dopiero zarządzenie z października 1981 r. o katechezie parafialnej wyjęło ją spod kontroli i nadzoru władz państwowych.

Ks. Jerzy Myszor

Niezbędnym środkiem w realizacji tego planu stało się wychowanie szkolne. W tej walce znaleźli bardzo ważnego sprzymierzeńca – lewicowo zorientowany Związek Nauczycielstwa Polskiego. Początkowo aktywiści ZNP lansowali ponadpartyjne wychowanie i wykształcenie młodzieży, oparte na „nieprzemijających wartościach równości i braterstwa”, ale już od końca 1948 r. nie zawahali się skorzystać ze wszystkich możliwości, jakie miał w ręku powojenny aparat państwowy i partyjny. Artykuł 120 konstytucji marcowej stanowiący o nauce religii w szkole zinterpretowano w ten sposób, że odtąd nauka religii w szkołach podstawowych i średnich przestała być obowiązkowa, a decydującą rolę w posyłaniu dzieci na lekcje religii zaczęli odgrywać rodzice dziecka. Władze wprowadzenie zmian argumentowały

W OBRONIE KRZYŻA

Znak nadziei z Włoszczo

Dziś Włoszczowa trafiła do żartów o dworcu kolejowym. Mało kto pamięta, że to miasto bohaterskie. 3 grudnia 1984 r. młodzież tamtejszego Zespołu Szkół Zawodowych im. S. Staszica podjęła trzynastodniowy strajk okupacyjny w obronie krzyża.

W grudniu 1984 r. w jednym z ważniejszych tytułów komunistycznej prasy można było przeczytać: „Taka Włoszczowa, takie nic i co się tu narobiło.(...) Za »Solidarności«, kiedy wszędzie były strajki, tu był spokój”. Rzeczywiście, we Włoszczowie wtedy „się narobiło”. Młodzież, która zdecydowała, że w taki sposób zamaniestruje co dla niej najważniejsze, wzbudziła uczucia patriotyczne Polaków. Wagę protestu wyrażało krążące po szkole powiedzonko: „Teraz zmienia się punkty ciężkości, ludzie będą mówić: Kielce koło Włoszczowy, nie odwrotnie”.

Noce na posadźce

Wszystko zaczęło się od zdjęcia krzyży. Te, które zawieszono w klasach w 1981 r., zniknęły. Uczniowie złożyli się na nowe, pomalowali je na zajęciach. W andrzejki, po uzgodnieniu z proboszczem parafii NMP Kazimierzem Biernackim, przynieśli je na uroczyste poświęcenie do kościoła. 1 grudnia krzyże wróciły do szkoły. Prof. Kazimierz Ostrowski, nauczyciel rachunkowości, arytmetyki gospodarczej i reklamy, który obok prof. Lewandowskiego wspierał strajkującą młodzież, pamięta, że wtedy niejednemu z nich ze wzruszenia chciało się płakać. A może wszystko zaczęło się od homilii ks. Marka Łabudy, katechety młodzieży, który przyszedł tu do pracy po święceniach? Mariola Pryt, wtedy jeszcze Sosnowska, uczennica II klasy LE, uważa, że młodzież zaczęła mówić o krzyżach po pogrzebieniu ks. Jerzego Popiełuszki, na który pojechał ks. Marek. Po powrocie wygłosił jedno ze swoich płomiennych kazań, które nimi wstrząsnęło. – To była akcja oddolna. Księża swoją postawą przekazali nam wartości – dodaje.

Kiedy 3 grudnia młodzi przyszedli do szkoły krzyży, już nie było. Zgromadzili się pod kancelarią. – Jedna z dziewczyn wniosła przyniesiony krzyż i zaintonowała, „Nie zdejmę krzyża z mojej ściany...” – wspomina prof. Ostrowski.



MAREK PIEKARA

Przyjechał wicewojewoda kielecki, Wojciech Nosek, ale negocjacje nic nie dały. Młodzi zostali w szkole.

Mariola Pryt: – Na pierwszym pięttrze rozlokowali się chłopcy. Na drugim – dziewczyny. Rodzice przynieśli im koce, ale spali na posadźce, tak że po kilku dniach czuli nerki. Pierwszy ołtarz zrobili z tornistrów i plecaków. Bo od początku chcieli się wspólnie modlić i poprosili katechetów – ks. Łabudę i ks. Andrzeja Wilczyńskiego o codzienne

sprawowanie Eucharystii. Rozmawiali wtedy z nimi o sprawach wiary i wolności. Układali pieśni: „W sobotę po wyjściu ze szkoły/Te krzyże jeszcze wisały/Lecz władze dyrekcja się bały/I krzyże ze ścian pozrywały./Mijają minuty, godziny/My wszyscy ciągle czekamy/By zawrzeć porozumienie/Z tak upartymi władzami”.

Rodzice na warcie

Zostali w szkole tak jak przyszli, z podręcznikami i drugim śniadaniem. Prowiant i ubrania donosili im rodzice. Na powiązanych szalikach spuszczały czapki z piętra, a mamy wkładały tam „zaopatrzenie”. Jeden z „zycziwych” nauczycieli przecinał te zaimprovizowane wyciągi. Przed koksakiem na szkolnym podwórzu dorośli z całego miasta na zmianę pełnili warty, żeby nie dopuścić do prowokacji. – Koledzy z pracy oddawali mi swoje bony żywnościowe – wspomina pani Danuta, mama Marioli Pryt. – Z baru „Popularnego” dostawałam pyzy. Z Woli Wiśniowej przywozili jabłka. Ze szpitala – środki czystości.

W tym samym szpitalu trwał ostry dyżur. Władze tak usiłowały zastraszyć strajkujących, dając do zrozumienia, że konflikt może być stłumiony siłą.

Na archiwalnej taśmie jedna z uczennic zarejestrowała rozmowę, którą prowadzili z profesorką na korytarzu.

Głos profesorki: – Równouprawnienie wszystkich to znaczy, że ta większość nie może



narzucać temu jednemu swoich przekonań. I na tym polega tolerancja.

Głos ks. Łabudy: – Proszę popatrzeć na te plakaty (w gablocie z kodeksem ucznia namalowali napis „My chcemy Boga w szkole”). Właśnie w imię tej tolerancji młodzież znajduje się w tym budynku.

Profesorka: – Uważam, że te sprawy powinny być wyżej załatwione...

Ksiądz: – Gdyby załatwiali je na górze, to nie wiem, czy by jeden krzyż tu zawisł...

Średniowieczne obrazy

Delegacje uczniów jeździły do wojewody kieleckiego, ale odsyłano je do Warszawy. Straszono, że rozwiążą szkołę. Coraz więcej osób chorowało. Niektórzy wychodzili do internatu (w większości byli przyjezdni) i nie wracali. Innych zabierali rodzice, bo zbliżały się święta. Część maturzystów 10 grudnia poszła na zajęcia w domu kultury. Cały czas towarzyszyli im kapłani – katecheci i proboszcz Biernacki. 9 grudnia po raz pierwszy do Włoszczowy przyjechał ich rodak bp Mieczysław Jaworski. „1 grudnia młodzież powiesiła nowe krzyże (...) wyznała w ten sposób jawnie swoją wiarę” – powiedział w homilii.

wy



ARCHIWUM GŃ

16 grudnia przyszedł do szkoły zakończyć strajk. Uczniowie razem z nim przeszli do miejscowego kościoła z krzyżami przyniesionymi przez mieszkańców miasta. Tłumy stały przy drodze i płakały jak dzieci.

„Przez dwa tygodnie cała Polska, cały świat wsłuchiwał się w wiadomości płynące z Włoszczowy(...) To był znak nadziei – tak potrzebny wielu Polakom” – kończył protest biskup.

14 grudnia po wieczornym dzienniku telewizyjnym wyemitowano film, który miał ośmieszyć strajk. „Kamera reporterów zapisuje obrazy godne średniowiecza: uniesione w górę drewniane krzyże (...) – komentowała 16 grudnia „Trybuna Robotnicza”.

Krótką pamięć

Po zakończeniu protestu rozpoczęły się restrykcje. Nie wszystkich poszkodowanych da się przypomnieć. Sporo młodzieży nie mogło zdać matury, znaleźć pracy. Renata Gałkiewicz, która nie wpuściła do budynku dziennikarza telewizji, nie ukończyła szkoły. Ania Synowska, ta, która na początku strajku uniosła krzyż, nie zdała matury. Jola Kozioł i inne koleżanki otrzymały naganę oraz oceny naganne ze sprawowania. Z wieloma rozwiązano umowę o „praktyczną naukę zawodu” (najbliższe technikum ze specjalnością mleczarstwo było w Rzeszowie). Rozpoczęły się wezwania na kolegia do Jędrzejowa: księża, Ali Groszek – przewodniczącej szkoły, prof. Ostrowskiego, rodziców młodzieży. Ojca Sławka Fronczka pobili „nieznani sprawcy”. Wszyscy składali się na kolegium ks. Łabudy (dziś uważanego za bohatera tamtych dni), którego w tajemniczych okolicznościach w Krakowie też ciężko pobili „nieznani sprawcy”. Jeden z czytelników „Gościa” napisał, że wioził dla niego z Krakowa plecak pełen zebranego bilonu.

Prof. Ostrowski dostał wypowiedzenie z pracy. Barbara Marcinkowska, pracownica internatu, została przeniesiona do odległej o kilkanaście kilometrów wiejskiej szkoły. Szef internatu Rajmund Groszek musiał odejść na wcześniejszą emeryturę. Konrad Michalski, wspomagający strajkujących, został ukarany grzywną w wysokości 20 tys. zł. „Krzyży nie ma, jednak zwyciężyliśmy moralnie” – pisała w prywatnym dzienniczku tamtych dni Danusia Nowakowska z klasy maturalnej. – Po przeszło 20 latach krzyże wiszą w każdej szkole. Czy dzisiejsza młodzież docenia tamten zryw? – zastanawia się prof. Ostrowski. – Krzyż rzecz święta. Walczyłabym o niego, gdyby była taka potrzeba. Ale o tamtych proteście niewiele się pamięta – mówi Monika Trojszczak, od niedawna absolwentka zespołu szkół.

Barbara Gruszka-Zych

MAREK PIEKARA



Msza św. dla strajkującej młodzieży, od lewej księża: Marek Labuda i Andrzej Wilczyński. PO LEWEJ: Kazimierz Ostrowski, jeden z nauczycieli wspierających strajkującą młodzież. PONIŻEJ: Wspominają tamte wydarzenia: od lewej Danuta Sosnowska, matka Marioli z wnukiem, Mariola Pryt z domu Sosnowska i Urszula Kozioł



Obrzędowość świecka

Świecka obrzędowość miała wyprzeć religię z prywatnego życia obywateli PRL.

Przyjście na świat, zawarcie małżeństwa i zgon – stanowią trzy najważniejsze wydarzenia w życiu człowieka i obywatela – pisano w jednym z partyjnych dokumentów i postulowano, by te wydarzenia znalazły w świeckiej obrzędowości „należną im oprawę”.

Ślub cywilny

Ślub cywilny miał być dla nowożeńców niezapomnianym przeżyciem emocjonalnym i estetycznym, konkurencyjnym wobec obrzędu kościelnego, a nie formalnością. Partyjni

analitycy uważali bowiem, że wielu młodych ludzi zawierało ślub kościelny nie z pobudek religijnych, ale tylko po to, „aby zaspokoić jakieś wzrokowe i słuchowe potrzeby estetyczne”. Z tego względu troszczono się o nadanie laickiej ceremonii szczególnie uroczystego charakteru, o podniesłą atmosferę (nastrojowa muzyka, kwiaty), zewnętrzną oprawę (estetycznie urządzony i należycie wyposażony pokój, właściwa prezencja i ubiór urzędnika), ściśle określony rytuał itp. Małżonkom przesyłano życzenia z okazji okrągłej rocznicy wspólnego pożycia, a także organizowano uroczystości srebrnych i złotych godów.

Narodziny dziecka

Religijny obrzęd chrztu kościelnego postanowiono zastąpić obrzędem uroczystego nadania imienia. Nie zdołano jednak upowszechnić „świeckich chrztin”, mimo że rodzicom wysyłało indywidualne zaproszenia

na tę uroczystość. Niepowodzeniem zakończyły się także próby towarzyszenia młodemu obywatelowi w ważnych wydarzeniach jego życia, m.in. przesyłanie okolicznościowych życzeń w pierwszą rocznicę urodzin, w dzień pójścia do szkoły czy w dzień osiągnięcia pełnoletności.

Pochówek

Śmierć – trzecie „najważniejsze wydarzenie w życiu człowieka i obywatela” było najmniej zagospodarowane przez świecką obrzędowość. Pogrzeby bez księdza urządzone były za niższą cenę, z udziałem orkiestry, specjalnego mówcy i władz partyjno-państwowych, a klepsydry zmarłych drukowane na specjalnym wzorze afiszu bez krzyża i w szczególnie uroczystej szacie graficznej. Ceremoniał laickiego pochówku nie przyjął się, mimo licznych starań organizatorów, by uczestnicy świeckiego konduktu pogrzebowego „przeżyli jakąś uroczystą chwilę

Trudna droga

Liczne powołania kapłańskie i zakonne niepokoiły władze komunistyczne, bowiem kolejne roczniki młodych kapłanów wzmacniały Kościół w Polsce.

Wczesne pozyskanie informacji o osobach potencjalnie mogących wybrać drogę życia kapłańskiego czy zakonnego stanowiło jedno z zadań aparatu bezpieczeństwa. Pod szczególną kontrolą była młodzież aktywna religijnie: ministranci, członkowie młodzieżowych grup religijnych, uczestnicy pielgrzymek czy wyjazdów oazowych.

Inwigilacja w szkole

Penetrowanie środowisk szkolnych stanowiło podstawę przeciwdziałania ich zaangażowaniu, a w przypadku osób skłaniających się do wstąpienia do seminarium często skomasowanych i niewyszukanych form nacisku na nie. Do „odciągania” od takich decyzji wykorzystywano członków organizacji młodzieżowych, nauczycieli czy dyrekcje szkół. Nie do pozazdroszczenia była sytuacja młodego człowieka, który obligowany był do tłumaczenia się ze swoich decyzji. Dlatego dość powszechnym zjawiskiem było zatajanie przez przyszłych alumnów swojego wyboru do momentu zakończenia edukacji i zdania matury; wskazywanie innych kierunków studiów, a nawet przygotowanie pełnej dokumentacji na studia nieteologiczne.

Aparat bezpieczeństwa różnymi metodami starał się pozyskać informacje o kandydatach do seminarium. W 1971 r. w wyniku perlustracji korespondencji kierowanej do ojców paulinów

częstochowska SB przechwyciła list, którego nadawca deklarował chęć wstąpienia do zakonu. Przekazana do Tarnowskich Gór informacja stała się podstawą przeprowadzenia rozmowy nie tylko z samym kandydatem, ale także z jego matką – pracownicą Prezydium PRN, co w efekcie doprowadziło do jego rezygnacji z wstąpienia do zakonu. Znajomość zainteresowań młodego człowieka pozwalała na składanie mu ciekawych kontrpropozycji: w 1979 r. w czasie komisji wojskowej alumnowi łódzkiemu seminarium zaproponowano służbę wojskową w ośrodku szkolenia nurków i pletwonurków, wiedząc o jego zainteresowaniu ratownictwem morskim.

Za dużo alumnów

Pozyskiwane drogą operacyjną informacje o przyjętych na I rok studiów teologicznych były podstawą do opracowywania listy szkół, z których najwięcej uczniów wstępowało do seminarium duchownych. W planie pracy na rok 1975 tarnogórska SB postawiła sobie zadanie zwrócenia szczególnej uwagi na Liceum Ogólnokształcące w Piekarach Śl. i Liceum im. Staszica w Tarnowskich Górach, ponieważ z tych szkół „wywodzi się najwięcej alumnów” w powiecie. W rzeczywistości oznaczało to naciski na wszystkich, którzy mogli się przyczynić do zmniejszenia liczby kleryków w seminarium duchownych.

Kornelia Banaś



Aksesoria świeckie i i szaty liturgiczne – symbole starej i nowej obrzędowości
PO LEWEJ: Ślubom cywilnym starano się nadawać bogatą oprawę

i mieli jak najlepsze wyobrażenie o tego typu świeckich uroczystościach”.

Sekularyzacja świąt

Proces zeświecczenia życia obywateli objął także święta kościelne i religijne, poprzez wprowadzanie w ich miejsce świeckich odpowiedników. Dziadek Mróz miał zastąpić św. Mikołaja, Gwiazdka – Boże Narodzenie, Dzień Strażaka – święto św. Floriana, obrząd „pasowania na młodzika” (np. szpadą przez górnika pod pomnikiem Czynu Rewolucyjnego w Sosnowcu) nawiązywał do Pierwszej Komunii św., a uroczyste wręczenie pełnoletniemu obywatelowi dowodu osobistego w USC do bierzmowania (sakramentu chrześcijańskiej dojrzałości). Paradoksalnie, jedynym świętem kościelnym, na które nie znaleziono laickiej koncepcji okazało się to najważniejsze z punktu widzenia wiary: Wielkanoc.

tucja Marek



Święcenia diakonatu w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Katowicach w latach 80 ub. wieku

WIELKIE WERBOWANIE

Służba nie-kościelna

Niemal połowę tajnych współpracowników SB działających w środowisku kościelnym stanowiły osoby świeckie.

W momencie podjęcia ostrej walki z Kościołem w październiku 1947 r. kierownictwo Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wezwało do systematycznego rozpracowania instytucji Kościoła w terenie. Instruowano, że sieć agenturalną należy budować w kurii (spośród źle opłacanego personelu), parafii (słudży kościelnej, organiści), wśród „otoczenia towarzyskiego” księży (inteligencja wiejska, kupcy), spośród handlarzy dewocjonaliami i kramarzy na odpustach. Za bardzo ważny i „łatwo dostępny do werbunku” uznano żebraków.

Agentura

Praca UB/SB w pozyskiwaniu agentury spośród osób świeckich, początkowo trudna i w pewien sposób prymitywna, z czasem stała się coraz bardziej wyrafinowana. Werbowano do współpracy coraz bardziej znaczące osoby. W 1962 r. dyrektor Departamentu IV MSW wspominał, że należy pozyskiwać parafie jako „kontakty obywatelskie” osoby



Mieczysław Moczar (z lewej), szef MSW w latach 60. i Władysław Gomułka, I sekretarz KC PZPR (1956–1970), odpowiadali za działania bezpieki wobec Kościoła

posiadające „umiejętność szerokiego patrzenia, oceniania i skomentowania zaistniałych w parafii faktów”, a więc: nauczycieli, służbę medyczną, sklepowych, pocztowych itp.

Szczególnym zainteresowaniem SB cieszyli się byli klerycy, osoby występujące z zakonów czy ze stanu duchownego. Próbowano ich pozyskać do współpracy celem uzyskania informacji o stosunkach panujących w seminarium,

zakonie czy też parafii. Nalegano na nich, by odnowili i podtrzymywali kontakty ze swoimi znajomymi z tych środowisk.

TW „Czuwaj”

Dzięki agenturze wśród osób przebywających blisko kapłanów aparat bezpieczeństwa nie tylko wiedział, co dzieje się w parafii, ale mógł też kontrolować agentów pozyskanych

Ludzie listy piszą...

Dyskryminacja i niesprawiedliwe traktowanie często były tematem, który katolicy poruszali w korespondencji do władz.

Kształtowana na łamach prasy i w radiu, a później również w telewizji propaganda szybkiej i skutecznej reakcji dziennikarzy na „głosy” społeczeństwa powodowała, że niektórzy obywatele szukali pomocy w tych instytucjach. Najbardziej popularny tygodnik kobiecej w powojennej Polsce – „Przyjaciółka” – osiągał nakład 3 mln egzemplarzy. Do redakcji tej gazety napisały 22 września 1956 r. czytelniczki z Pilicy w powiecie olkuskim. W swoim

liście poruszyły problem nieodbytej pielgrzymki do Częstochowy z powodu odmowy Powiatowej Rady Narodowej w Olkuszku, zarzuciły prasie brak informacji o uroczystościach religijnych w Częstochowie i równoczesne rozpisywanie się o uroczystościach państwowych. „Przecież wszyscy chcemy być i jesteśmy dobrymi obywatelami, ale chcemy być i jesteśmy też katolikami...” – pisały. Trudno szukać publikacji tego listu czy stosownego artykułu na łamach

„Przyjaciółki”. Natomiast kierownik działu interwencji tygodnika nie omieszczał przesłać odpisu listu do Urzędu do spraw Wyznań w Warszawie.

W strukturach aparatu bezpieczeństwa tzw. perlustrację korespondencji prowadzili funkcjonariusze Wydziału „W”. Wytypowane listy otwierano, czytano, fotografowano, a nawet, za zgodą przełożonych, konfiskowano. Tak stało się w przypadku anonimowego listu skierowanego do Konsulatu Brytyjskiego w Katowicach. Autor opisał w nim różne formy przemocy, jaka spotkała uczestników pielgrzymki piekarskiej w maju 1949 r. Świadomy możliwych represji nie podpisał się własnym nazwiskiem, a list zakończył słowami: „obecnie w Polsce – Prawda to śmierć”.

Wsadzić sodalisa

wśród duchowieństwa. Tak było w przypadku ministranta, który jako informator ps. „Czuwaj” miał sprawdzić lojalność wobec UB swojego proboszcza – informatora o ps. „KW-17”. W tym celu ministrant miał zapytać proboszcza, czy prawdą jest, że wyszła ustawa zakazująca uboju świń. Później, na spotkaniu z księdzem-informatorem, funkcjonariusz UB miał zapytać „czy przypadkiem nic mu nie wiadomo o plotkach krążących w jego parafii, że świń nie będzie wolno zabijać”.

Podśluchy

Czasem pomoc udzielana SB przez agentów okazywała się wprost nieoceniona. Przykładowo palacz i konserwator sprzętu technicznego w katowickiej kurii pomógł SB w założeniu podsłuchów w budynku kurialnym, a były kierowca biskupa śląskiego dostarczył SB klucze do pomieszczeń w kamienicy, w której mieszkał razem z księżmi kurialistami. Tę samą usługę wyświadczył SB tajny współpracownik „Erski”, który umożliwił uzyskanie odcisku kluczy do pomieszczeń „Tygodnika Powszechnego” oraz wprowadził do lokalu redakcji funkcjonariusza SB, który zainstalował tam podsłuch.

W końcu 1964 r. na 2633 tajnych współpracowników pionu kościelnego SB, aż 1032 stanowiły osoby świeckie. Spośród nich najliczniejszą kategorię stanowiły „osoby świeckie kontaktujące się z klerem”. Poza tym byli także m.in. wykładowcy i studenci KUL i ATK, działacze KIK, PAX, ChSS, „pomocniczy personel” (organiści, kościelni).

Adam Dziurok

Wnikliwej kontroli poddawano również korespondencję kierowaną do władz kościelnych. Przechwycono na przykład list Karola P. z Rudy Śląskiej, który w 1979 r. w imieniu mężów pielgrzymujących corocznie do sanktuarium piekarskiego skierował prośbę do bp. Bednorza o umożliwienie parafianom spotkania z Janem Pawłem II w Piekarach Śl. Zrozumiałe, że adresat nie odpowiedział na niedoręczony list. Mniej zrozumienia mógł wykazać nadawca, czekając bezskutecznie na odpowiedź. Raczej nie domyślał się, z jakich powodów jej nie otrzymał.

Skonfiskowany list spoczywa do dziś w dokumentacji, jaka pozostała po działalności katowickiej SB.

Kornelia Banaś

Czy ktoś dziś uwierzy, że polskim członkom pobożnego fanklubu Matki Bożej jeszcze nie tak dawno groziły tortury?

W sierpniu 1949 r. władze państwowe wydały dekret, nakazujący rejestrację stowarzyszeń religijnych wraz z podaniem spisu członków. Podporządkowanie się tym przepisom oznaczałoby, że Kościół na tacy podałyby stalinowskim organom represji gotowe listy ich potencjalnych ofiar. By tego uniknąć, Episkopat Polski zawiesił działalność stowarzyszeń religijnych, w tym także sodalicyj mariańskich.

Ale już w końcu tego samego roku niektórzy sodaliszi rozpoczęli działalność w ukryciu. Taka konspiracyjna Sodalicia Mariańska powstała m.in. w Chorzowie. Jej prezesem został Henryk Dobrzyński, a jednym z liderów był ówczesny kleryk Stanisław Sierla. Organizowali zebrania i odczyty na tematy religijne.

Śniły mi się tortury

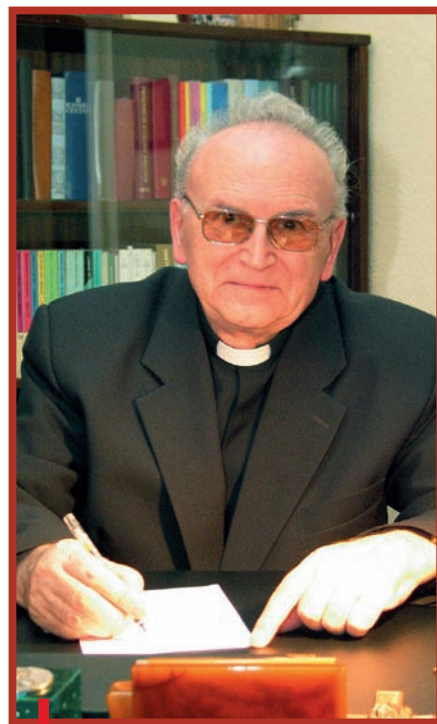
Jesienią 1950 r. siedmiu chorzowskich sodalisów zostało aresztowanych. „Nie obyło się bez uderzenia pięścią lub kablem, ale z czasem przesłuchania stawały się coraz spokojniejsze. (...) Oficer śledczy szantażował mnie, że sprawa nasza może zostać przekazana do sądu wojskowego, a gdy nam udowodnią działalność polityczną, możemy otrzymać wyrok od pięciu lat do kary śmierci” – pisał po latach ks. Sierla, dodając, że w areszcie nawet mu się śniło, że był torturowany.

Wspominał też: „W więzieniu wchodzi się w klimat pewnej psychozy. (...) Uwięzieni pytają każdego nowo przybyłego o amnestię. Najpierw się z tego śmiałem, a po pewnym czasie postępowałem podobnie” – przyznał ks. Sierla, który przez więzienne kraty słyszał, jak wykonywane są wyroki śmierci przez rozstrzelanie.

Wspominał też: „Gdy otworzyły się drzwi naszej celi, widziałem, jak kalifaktor (roznoszący posiłki – przyp. JD) trzymał w rękach kiełbasę. Gdy rzucił ją na podłogę, okazało się, że to jest marchew. A ja mógłbym przysiąc, że widziałem kiełbasę”.

Wściekłość ubeków

Rozprawa sądowa odbyła się kilka miesięcy po aresztowaniu. Ci, którzy wcześniej ulegli presji, wycofali swe zeznania. Można sobie



Ks. kanonik Stanisław Sierla, sodalis i więzień stalinowski

wyobrazić wściekłość ubeków, którzy pośpiesznie zaaresztowali dwóch dodatkowych świadków, ale i oni nie dali sądowi pretekstu do skazania. Ostatecznie wszyscy oskarżeni (z wyjątkiem chłopaka, który oświadczył, że przychodził na spotkania sodalicyj tylko po to, żeby grać na organach i akordeonie) dostali jednak kary więzienia, w przypadku kleryka Sierli – 7 miesięcy.

Dalsze represje

Nie był to koniec jego prześladowań. Podlegał on później represjom m.in. jako duszpasterz akademicki, twórca festiwalu muzyki religijnej Sacrosong, autor piosenek i redaktor śpiewników. Natomiast w 2007 r. ks. prałat Stanisław Sierla został przewodniczącym kościelnej komisji, badającej postawy duchownych archidiecezji katowickiej wobec komunistycznych organów represji.

Wspomniani chorzowianie nie byli jedyńmi sodalisami, którzy ucierpieli w czasie stalinowskiego terroru. Aresztowano wówczas kilku moderatorów oraz wielu sodalisów. Jak podaje internetowa witryna sodalicyj, wyroki wydawane na nich przez sądy wojskowe sięgały nawet dwunastu lat więzienia, choć najsurowsze kary mogły być wydawane za „przestępstwa” inne niż działalność w sodalicyj.

Jarosław Dudała



Uroczysta sesja Wojewódzkiego Komitetu FJN i Rad Narodowych we Wrocławiu, 12 lipca 1966 r. Potępiono niemiecki rewizjonizm i „politykierów z Episkopatu”

„Między bajki włóźcie”

Propaganda antykościelna, obecna przez cały okres komunizmu, szczególnie nasilenie przybrała, za sprawą listu biskupów polskich do niemieckich, w okresie poprzedzającym obchody Milenium Chrztu Polski.

A wszystko inne, co nieraz słyszycie, to »między bajki włóźcie«, jak zeschny liść, który spada z drzewa” – tak prymas Stefan Wyszyński 12 grudnia 1965 r. skomentował początek kampanii propagandowej dyskredytującej inicjatywę biskupów. Dwa

dni wcześniej sygnał do ataku dał artykuł w „Życiu Warszawy” zatytułowany „W czym imieniu?”. Po nim ruszyła lawina innych tekstów utrzymanych w tym samym tonie. Nie dziwi to zresztą, skoro były one częścią wypracowanej w Wydziale Administracyjnym KC PZPR koncepcji wielkiej kampanii propagandowej, której celem było wykorzystanie orędzia do ograniczenia poparcia dla hierarchii kościelnej. W akcji należało pokazać społeczeństwu, że biskupi w liście sfałszowali dzieje narodu i zajęli postawę „antynarodową i antysocjalistyczną, sprzyjającą niemieckiemu rewizjonizmowi”. Sięgano po mocne argumenty. „Trybuna Ludu” opublikowała np. oświadczenie Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, w którym stwierdzono, że list biskupów polskich „bezczęści pamięć pomordowanych 6 milionów obywateli polskich”. Znalazło się tam też stwierdzenie: „Nie przebaczymy i nigdy nie zapomnimy”, które było wielokrotnie powtarzane, na przykład w formie plakatów (hasło nabrało jednak nowego wymiaru, gdy nieznani sprawcy

dopisywali na końcu „...Katynia”). W prasie wypominano hitlerowską przeszłość episkopatu niemieckiego, wskazując, że jeśli „chcą przybyć, niech uczynią, jak niegdyś cesarz Otton, niech włożą szaty pokutne, niech posypią głowy popiołem”. Do akcji przyłączyły się „Szpilki”, które na początku 1966 r. ośmieszając próby pojednania, umieściły na pierwszej stronie wizerunek uzbrojonych rycerzy niemieckich sposobających się do przekroczenia Odry, z podpisem: „Musimy ich nawrócić, żeby jako chrześcijanie mogli nam wybaczać i prosić o wybaczenie”. Mobilizacja całego aparatu partyjno-państwowego sięgnęła absurdu.

Dla dzieci i naiwnych

Jak zauważono w lutym 1966 r., podczas narady specjalnej Komisji KC do spraw Kleru, akcja prasowa w związku z orędziem i Milenium „ujawniła pewne braki” – np. „prasa dziecięca nie podjęła tych problemów”. W innej analizie skarżono się na „automatyzm puszczony w ruch maszyny propagandowej” i elementy



Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński w czasie uroczystości milenijnych w Piekarach Śląskich w maju 1966 r.



Władysław Gomułka, szef partii, odpowiadał za wydanie Kościołowi propagandowej wojny w 1966 r.



Na potrzeby antykościelnej i antyniemieckiej propagandy władze reaktywowały nawet piastowskich wojów. Na zdjęciu uroczystości w Gnieźnie w kwietniu 1966 r.

„szablonowości i łatwizny”. Kuriozalnym przykładem walki z orędnem może być fałszywka spreparowana przez SB, w której to kard. Wyszyński przyznawał się do błędu za wystosowanie listu i jako niegodny piastowania „tak wysokiego stanowiska” zrzekał się „tytułu kardynała i prymasa Polski”. Oczywiście jakiegokolwiek sprostowania i wyjaśnienia strony kościelnej nie miały szans ukazać się w prasie, radiu i TV.

Poza środkami masowego przekazu akcja antyorendziowa realizowana była w formie zebrań i masówek w zakładach pracy. Przyjmowano na nich ostre rezolucje potępiające biskupów. Żądano nawet ukarania autorów orędzia, a na zebraniu w Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu pobito osobę, która stanęła w obronie hierarchów. Z drugiej strony spór o orędzie, zdaniem władz, skonsolidował środowisko „sklerykalizowanych, fanatycznych i reakcyjnych wyznawców”.

Sponiewierani

Kierownictwo partii wskazywało, że w kampanii propagandowej należało unikać bezpośrednio atakowania Kościoła i rozwiewać obawy ludzi wierzących, że władze prowadzą z nim walkę. Plan akcji antykościelnej w okresie Milenium opracowano jednak w ten sposób, by jej kulminacja pokrywała się z centralnymi uroczystościami kościelnymi. W „Zapiskach milenijnych”, podsumowując 1965 r., prymas zanotował: „Rok ten był pełen bardzo ciężkich prac soborowych, milenijnych i wielu udręk, wyrządzonych nam przez naszych rodzimych komunistów. Takiego sponiewierania człowieka, jakiego dopuszcza się PZPR, dawno nie oglądaliśmy”. W następnym roku władze kontynuowały największą w dziejach PRL nagonkę na Kościół, a sam prymas doświadczył kolejnych upokorzeń. Władysław Gomułka publicznie obraził kard. Wyszyńskiego, mówiąc o „ograniczonym i wyzbytym narodowego poczucia

państwowości” umyśle przewodniczącego episkopatu, a grupa aktywistów partyjnych skandowała na jego widok w Warszawie: „Baranie, ty baranie”. Wszystko to działo się podczas uroczystych obchodów milenijnych. Na przykład w Krakowie na ulicach pojawiły się dwie grupy demonstrantów: jedna – zorganizowana przez lokalny komitet PZPR z hasłami: „Nie przebaczymy”, „Nie zapomnimy” i druga – wiernych skandujących „Przebaczymy”, „Chodźcie z nami”, „Wolności religii”. Symboliczna konfrontacja haseł została zakończona we właściwy dla panującego wówczas systemu sposób – interwencją oddziału ZOMO, który rozproszył zgromadzonych na krakowskim rynku przy użyciu pałek.

Adam Dziurok

WYRZUCANE BARBÓRKI

ALBUM „SUTA ŚLĄSKA” WYDAWNICTWO ŚLĄSK, KATOWICE 1968, W. WAWRZYNKIEWICZ



Barbara znaleziona w rup

Barbórkę z kopalni „Ignacy” w Rybniku uratował przed zniszczeniem Zygfryd Szymiczek, dzisiaj 85-letni mieszkaniec Radlina.

Pod koniec lat 60. XX w. kierownictwo kopalni wyrzuciło ten obraz św. Barbary, przed którym modliły się całe pokolenia górników w XIX i na początku XX wieku. Ziga – jak mówią na niego przyjaciele – znalazł jednak obraz wśród rupieci na kopalnianym strychu i uratował go.

Święta Barbara z kopalni „Ignacy” ma na sobie czerwony płaszcz męczenniczkii. Trzyma kielich z hostią oraz miecz, którym została ścięta. Stopę opiera na strzaskanej kamiennej głowie pogańskiego bóstwa.

– Na pewno była na kopalni już w 1876 r., kiedy mój dziadek Józef wrócił z pruskiego wojska i tu się zatrudnił – mówi Zygfryd Szymiczek. – Starzy górnicy twierdzili, że ta Barbórka była tu od początku istnienia kopalni. A nasza kopalnia powstała w 1792 roku – dodaje.

Fisharmonia w kopalni

Nazwy kopalni się zmieniały, a obraz św. Barbary w purpurowym płaszczu wciąż tu wisiał na honorowym miejscu. Dziadek Zygfryda został tu w XIX w. *śpijwokiem*, czyli górnikiem, który prowadził na kopalni wspólne modlitwy. – Górnicy codziennie przed zjazdem na dół śpiewali pod tym obrazem Barbórki: „Kto się w opiekę odda Panu swemu” i „Barbaro święta” – mówi Ziga Szymiczek.

Obok obrazu Barbórki na „Ignacym” stała fisharmonia, na której codziennie do pieśni akompaniował któryś z uzdolnionych muzycznie górników. Przed stu laty Śląsk był niezwykle rozśpiewany, bo jego mieszkańcy w epoce przed wynalezieniem

telewizji popołudniami wspólnie muzykowali. W sąsiednim miasteczku Rydułtowy górnicy przed każdym zjazdem na dół szymbem „Schreiber” grali na prawdziwych... piszczałkowych organach.

W 1910 roku dziadek Józef zmarł. – *Śpijwokiem* został po nim mój ojciec Wilhelm. Ale prowadził modlitwy tylko do 1913 roku, bo wtedy władze kopalni zabroniły górnikom modlić się po polsku – mówi Zygfryd Szymiczek.

Skoro nie mogli modlić się po polsku, górnicy przestali w ogóle wspólnie modlić się przed szychtą. Zwyczaj, który miał prawdopodobnie ponad sto lat, zanikł i już się nie odrodził. Przed obrazem wciąż odbywały się jednak Msze św. w dniu św. Barbary.

Obraz znika

Po II wojnie światowej w każdym zakładzie pracy zaczęli się rządzić sekretarze partyjni. Dlatego wizerunki św. Barbary zaczęły zniknąć z kopalnianych cechowni. Tak się też stało na kopalni „Ignacy”, krótko po jej włączeniu do kopalni „Rydułtowy”. Pewnego



PRZEMYSŁAW KUCHARCZAK

Zygfryd Szyczyk z reprodukcją obrazu św. Barbary, który ocalał w kopalni „Ignacy” w Rybniku. Z LEWEJ: Widok na kopalnię „Ignacy” w Rybniku w latach 60. ub. wieku

ieciach

dnia pod koniec lat 60. XX w. Barbórka po cichu zniknęła z hali wyplat na „Ignacy”. Nie wiadomo, kto kazał ją zdjąć.

W następnych latach stary *śpiywok* Wilhelm Szyczyk prosił swojego syna Zygfryda, żeby ten obraz znalazł. Zidze udało się tego dokonać w 1976 r. Znalazł Barbórkę na poddaszu budynku administracji. Tkwiła między stertami połamanych krzesel. Obraz miał wypaczone ramy i przemoczone płótno, bo zalewała go woda z ciekącego dachu.

Zygfryd postanowił uratować obraz. Z pomocą przyszedł mu młody zastępca dyrektora ds. ekonomicznych Paweł Cieślik. Zorganizował bagażowego żuka, który podjechał pod same drzwi budynku administracji. Wystarczyło dyskretnie wrzucić obraz na pakę i wywieźć go poza kopalnię. – Paweł pomógł, bo też był katolikiem, no i był z niego fajny synek – wspomina Zygfryd.

Obraz ocalał, bo Zygfryd zawiózł go do muzeum w Rybniku. Przekazał go tam wraz ze wspaniałą kolekcją kilofów, oskardów i innych narzędzi górniczych, zgromadzoną przez jego ojca. – O, tu mam dziękczynny

dypłom z rybnickiego muzeum, zobacz, z 1976 roku. Dziękują w nim mojemu ojcu, że przekazał za moim pośrednictwem narzędzia – pokazuje Zygfryd. W dyplocie jest też podziękowanie za „opiekę nad obrazem z patronką górników”. – Muzeum dało ten obraz do konserwacji i zapłaciło za jego naprawę duże pieniądze – wspomina Zygfryd.

Święta Barbórka legalna

– A gdybyście na ratowaniu Barbórki wpadli? Stracilibyście stanowiska? – To zależy od tego, kto by zaczął w tej sprawie kopać – zastanawia się Zygfryd. – Gdyby to był ktoś zażarty, to konsekwencje mogły nas spotkać. Powiedzieliby mi: „Ty pieronie, jesteś kierownikiem działu, a kościelne obrazy ratujesz?!”.
Wizerunki św. Barbary wróciły do kopalni dopiero cztery lata później, w 1980 roku, kiedy w Polsce wybuchła „Solidarność”. Górnicy z „Ignacego” nie wiedzieli, co się stało z ich Barbórką, ale pogłoski wiązały ją z nazwiskiem Szyczyk. Doszło wtedy do absurdalnej sytuacji: zamiast dziękować Zygfrydowi

Szyczykowi za ocalenie obrazu, kilku pracowników kopalni zarzuciło mu, że go ukradł i „handlował antykami”. Dla Zygfryda było to wyjątkowo bolesne doświadczenie. – Pytałem jedną panią, która mnie oskarżała: „A co pani zrobiła w obronie obrazu, kiedy go partia wynosiła?” – wspomina. Musiał udowodniać swoją niewinność. Pojechał do muzeum po zaświadczenie, że obraz jest w muzealnych zbiorach i ma się dobrze. Muzeum nie zamierzało obrazu kopalni na powrót przekazać, bo sporo zainwestowało w jego naprawę. Górnicy powiesili więc na „Ignacy” wierną kopię swojej Barbórki. Gdyby nie Szyczyk, nie mieliby nawet czego kopiować.

Dzisiaj w kopalni „Ignacy” górnicy nie zjeżdżają już na dół. Zjawiają się tu tylko turyści, żeby podziwiać dwie ogromne, parowe maszyny wyciągowe, zbudowane w 1900 i 1920 roku. A piękną Barbarę z „Ignacego”, przed którą górnicy codziennie modlili się, zanim zjechali na pełną niebezpieczeństw szachtę – można dzisiaj zobaczyć w Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.

Przemysław Kucharczak

Rekolekcje u schyłku PRL-u

Na rekolekcje oazowe pojechałem po raz pierwszy latem 1983 roku do Jaworzynki w Beskidzie Śląskim.

Potem przez kolejne lata jeździłem na oazowe stopnie jako uczestnik, a później także jako animator już podczas studiów w seminarium. To były lata „jaruzelskiej smuty” po stanie wojennym. Większość rekolekcji organizowanych przez diecezję katowicką odbywała się w Beskidzie Śląskim. Warunki były zazwyczaj dość siermiężne. Na moich pierwszych rekolekcjach chłopcy spalili na siennikach w starej drewnianej chałupie, dziewczyny miały do dyspozycji dom

murowany i piętrowe łóżka. Myliśmy się na powietrzu w miskach, biorąc wodę ze studni.

Wszystko na kartki

Nie było łatwo z jedzeniem. To były lata karek na żywność. Na sklepowych półkach nie brakowało tylko octu. Księża organizujący oazę musieli sobie jakoś radzić. Chyba najtrudniej było o mięso, kupowali więc czasem na wsi świńniaka. Uczestnicy byli proszeni o przywiezienie ze sobą kilograma cukru i jakichś konserw. Nie raz proszono ich także o przywiezienie jakiejś kartki żywnościowej. Niełatwo było zdobyć także tak strategiczny towar jak np. papier toaletowy. Na oazowych stołach pojawiała się żywność pochodząca z zachodnich darów, np. wielkie krążki żółtego sera, nazwanego przez oazowiczów „zemstą Reagana”, marmolada w wielkich plastikowych pojemnikach czy solone masło. Koszt 15-dniowych rekolekcji

nie był wysoki. Dla wielu młodych to była na pewno także okazją przeżycia tanich wakacji z rówieśnikami w pięknej górskiej okolicy.

MO czuwa

Nie pamiętam, aby na oazach pojawiały się jakiekolwiek wątki polityczne. Nie kojarzę też szykan ze strony władz. To były prawdziwe rekolekcje nastawione na sprawy duchowe: z dużą ilością modlitwy, śpiewów, rozmów o Biblii, z codzienną Mszą świętą. Dużym przeżyciem był zawsze trzynasty dzień oazy, czyli tzw. dzień wspólnoty, na którym kilkanaście oaz gromadziło się w jednej miejscowości na Mszy świętej, odprowadzanej zwykle przez biskupa. Na początku września w katedrze odbywał się dzień wspólnoty wszystkich uczestników letnich oaz. Gromadził około 7 tysięcy młodzieży i rodzin. Tak potężne zgromadzenie nie uchodziło uwagi władz. Milicyjne nyski pojawiały się zazwyczaj w pobliżu katedry.

Oaza wytwarzała niewątpliwie jakiś rodzaj subkultury: z charakterystycznymi śpiewami, a nawet ubiorem (chłopcy w modnych wtedy flanelowych koszulkach, dziewczyny w obowiązkowych długich spódnicach). To było jednak przeżycie czysto religijne – doświadczenie wiary przeżywanej w gronie rówieśników. Dzięki oazie wielu z nas po raz pierwszy samodzielnie sięgnęło po Biblię, uczestniczyło we wspólnotowej modlitwie, wielu deklarowało abstynencję. Animatorzy byli tylko o parę lat starsi od uczestników. To było także wtedy coś nowego, że o wierze mówił nie ksiądz, ale starszy kolega czy koleżanka. W wielu uczestnikach, nawet tych, którzy traktowali oazę jako formę przyjemnego spędzenia wakacji, 15-dniowe rekolekcje na pewno zostawiły ślad. Dawało to nowe spojrzenie na Kościół, który nie był już instytucją, ale ukazywał się jako żywa, rozśpiewana, radosna wspólnota, która daje poczucie przynależności, duchowej siły i wolności.

ks. Tomasz Jaklewicz

Dzień wspólnoty na górze Tabor (Błyszcz) sierpień 1974 r. W latach 70. ub. wieku założony przez ks. Franciszka Błachnickiego Ruch Światło-Życie, przeżywał liczne szykany ze strony administracji i SB. Organizatorów oaz stawiano przed kolegiami i nakładano na nich kary pieniężne. W latach 80. sytuacja się poprawiła dzięki temu, że oazy znalazły się pod opieką biskupów.





ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE

Mój KUL

W latach 80. studiowanie na KUL-u było naprawdę czymś wyjątkowym, chociaż po studiach trudno było znaleźć pracę, zwłaszcza w państwowych instytucjach. Mimo to dostanie się na jakikolwiek kierunek było wielkim sukcesem. W 1986 r. zdawałam na teologię. O 45 miejsc ubiegało się ponad 240 osób. Limity miejsc na każdym KUL-owskim kierunku ustalało państwo. Poza „państwowym” przydziałem uczelnia mogła jednak przyjmować osoby duchowne. W tym dostrzeżono swoiste „wyjście awaryjne” dla osób, które dobrze zdały egzamin wstępny, ale z powodu braku miejsc nie mogły być przyjęte. By zostać studentem, wystarczyło dostarczyć zaświadczenie o rozpoczęciu postulatów w jakimś zgromadzeniu zakonnym. Na mój rok w ten sposób poza limitem przyjęto, oprócz kilkunastu siostr zakonnych, prawie 20 osób. Większość z nich nigdy nie przekroczyło progu domu zakonnego. Ale za to z powodzeniem skończyli studia na KUL-u.

Studiowanie na KUL-u wymagało też sporych wyrzeczeń od studentów i ich rodzin, bo w przeciwieństwie do uczelni państwowych studenci KUL nie otrzymywali właściwie żadnych stypendiów. Jakąś pomocą dla najuboższych były darmowe obiady czy miejsce w akademiku, których nie było wiele. W niewielkich, skromnie urządzonych, zastawionych piętrowymi łózkami pokojach na Poczekajce mieszkaly po 4 dziewczyny. Nie lepiej było w akademiku męskim. Uczelnia utrzymywała się z ofiar zbieranych w kościołach w całej Polsce oraz z datków od członków Koła Przyjaciół KUL, działającego w Polsce oraz wśród Polonii w różnych krajach. Przyjaciół szukaliśmy sami wśród znajomych i krewnych. Dwa razy w roku studenci pierwszych roczników kwestowali przed lubelskimi kościołami. Ludzie byli wtedy bardzo ofiarni. Do puszek wpadały nie tylko monety, ale często banknoty o sporych nominałach. Przy tej okazji zwykle spotykaliśmy się z wielką życzliwością lublinian.

Mimo niełatwych warunków do studiowania, na KUL-u panowała niespotykana na innych uczelniach atmosfera, zarówno w sensie politycznym, jak i relacji międzyludzkich. Profesorowie i studenci stanowili KUL-owską rodzinę. Moich wykładowców interesowało nie tylko, jak przygotowuję się do zajęć, ale także czy mam gdzie mieszkać, czy wystarcza mi pieniędzy na jedzenie. Wydawało nam się też, że komunizm nie ma wstępu za bramę naszej uczelni. Tu czuliśmy się po prostu wolni.

Wiesława Dąbrowska-Macura,
SEKRETARZ REDAKCJI TYGODNIKA
„GOŚĆ NIEDZIELNY” STUDENTKA
TEOLOGII KUL W LATACH 1986-1991

Studenci KUL na spotkaniu z Janem Pawłem II w 1979 r.

Katolik studiujący

Katolicki Uniwersytet Lubelski przez długie lata był jedyną niepaństwową wyższą uczelnią w całym bloku wschodnim.

Paradoksalnie KUL był też pierwszą polską szkołą wyższą w Polsce Ludowej – zajęcia akademickie rozpoczęto już 3 listopada 1944 r. Na inauguracji roku akademickiego obecny był Bolesław Bierut i przedstawiciel władz ZSRR Nikołaj Bułganin. Otwarcie uczelni było posunięciem propagandowym władz, które groziły, że jeżeli KUL nie wznowi działalności, to otwarcia dokona sam PKWN. Utrzymywany przez wiernych uniwersytet, wbrew intencjom władz, odgrywał

olbrzymią rolę w życiu intelektualnym katolików. Ograniczano więc na różne sposoby rozwój uczelni: zmniejszono liczbę kierunków nauczania, narzucano lojalnych wykładowców oraz nakładano nadmierne podatki. W latach 50. KUL uznano za „reakcyjny ośrodek antysocjalistyczny i antykomunistyczny”, wychowujący „wrogów socjalizmu i komunizmu w Polsce”. Zaczęto też realizować koncepcję pozbawienia KUL możliwości kształcenia osób świeckich. Wielokrotnie przywoływany pomysł „klerykalizacji” KUL, czyli przekształcenia w uczelnię teologiczną, nie został ostatecznie zrealizowany. Swoistą przeciwwagą dla KUL miała być Akademia Teologii Katolickiej w Warszawie, powstała w 1954 r. z likwidowanych wydziałów teologicznych Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z czasem władze straciły pełną kontrolę nad uczelnią, która nie wypełniała zadań zleconych przez PZPR. W Wydziale Administracyjnym KC PZPR postulowano więc w grudniu 1966 r., by uczelnie katolickie (KUL, ATK) „przekształcić w kształcące wyłącznie księży i zakonnice”. Tak się nie stało, a obie uczelnie wykształciły tysiące młodych ludzi w duchu katolickim. Mieli oni jednak często problemy ze znalezieniem pracy.

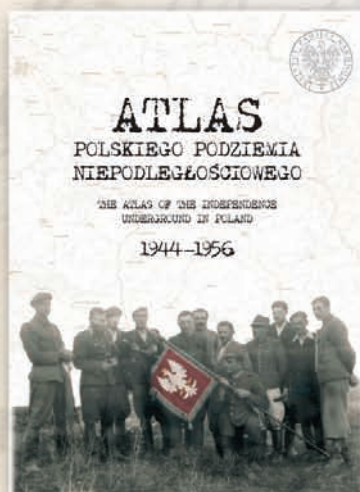
Adam Dziurok

PRZEZ MORZE CZERWONE

dodatek specjalny
do „Gościa Niedzielnego”
przygotowany przez IPN i zespół GN

REDAKTORZY WYDANIA: ADAM DZIUROK (IPN),
ANDRZEJ GRAJEWSKI (GN)
PROJEKT GRAFICZNY: WITOLD MORAWSKI
ZDJĘCIA NA PIERWSZEJ STRONIE OKŁADKI:
PAP/CAF/MARIUSZ SZYPERKO
©2008 Gość NIEDZIELNY

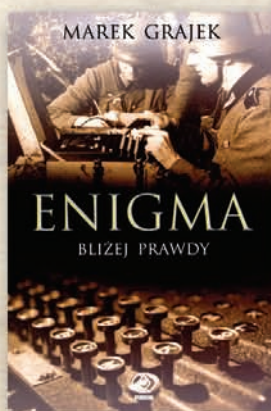
Książka Historyczna Roku



Nagroda Jury i Czytelników
w 2008 roku w kategorii
najlepsza książka naukowa



Nagroda Jury
w 2008 roku w kategorii
najlepsza książka
popularnonaukowa



Nagroda Czytelników
w 2008 roku w kategorii
najlepsza książka
popularnonaukowa